Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Cena N-ru 50 Mkp.

ROK 53 KRAKÓW, DNIA 27 LISTOPADA 1921. Nr. 48.

DJABEŁ

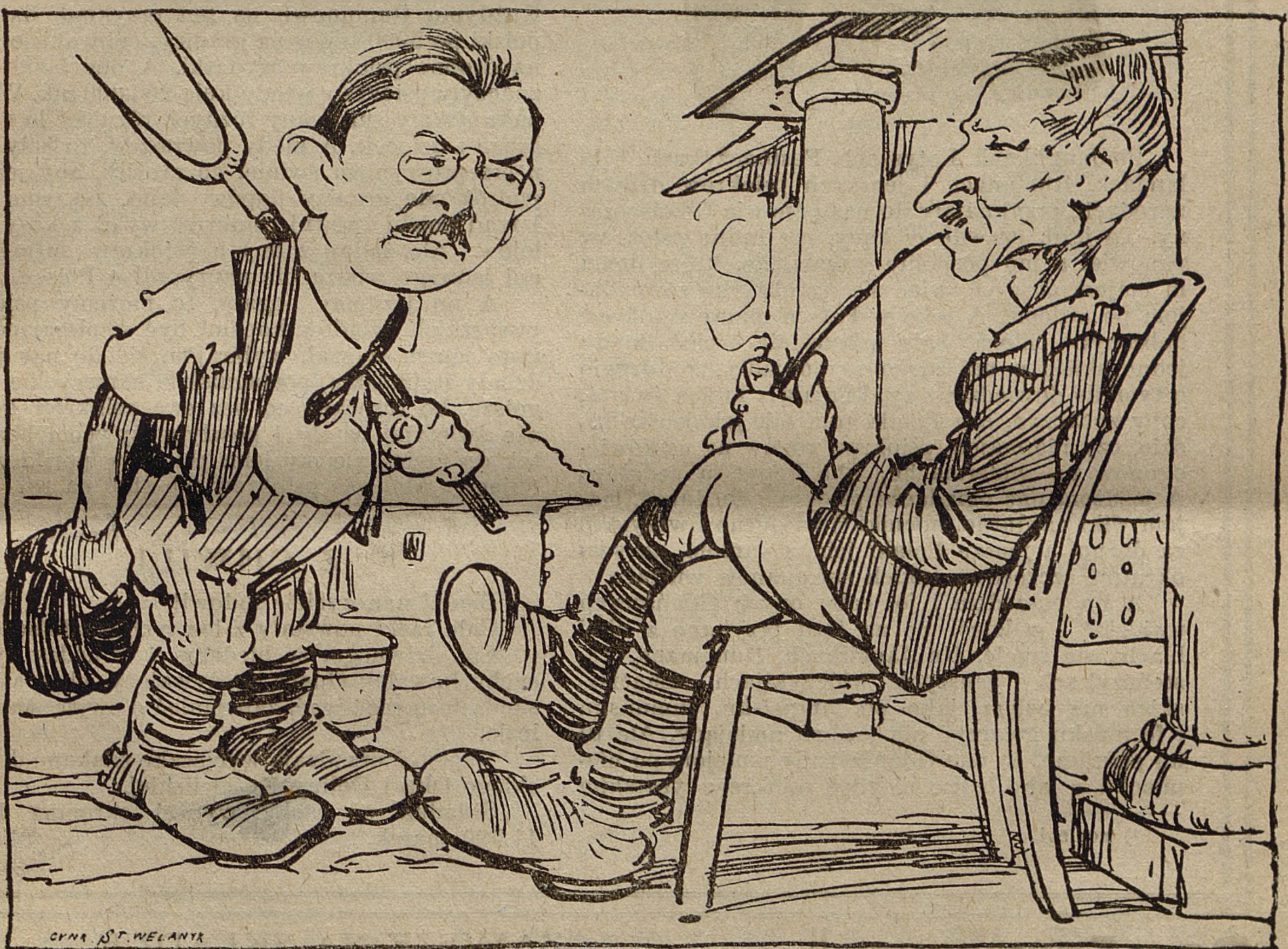
Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ" WŁADYSŁAW BORKOWSKI Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 50 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 200 MKP.
Cena egzemplarza 50 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

U DZIEDZICA W WIERZCHOSŁAWICACH.



Witos. Ale pamiętaj, mój Marjanku, że służba nie drużba. Kiedyś przystał do mnie za parobka, musisz słuchać i być wiernym.... A kole gnojówki umiesz chodzić i gnój wylewać?

Marjanek. To moja specjalność jaśnie dziedzicu — lo mnie to bagatyla. Będę robił co jaśnie dziedzic każą, ino niech jaśnie dziedzic nie zapomną, że tam gdzie tero wlazłem chyłkiem bez okno, chcę wleść beze drzwi.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prosimy o odnowienie prenumeraty! Warunki w nagłówku. — Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

WICEK SOCJALIK.



Po Janglikach, Łotyszach, Festończykach, Finlandach, Rumunach i jenszych psiokrew dzikich narodach, przyknajały do nas panowie Gdańszczany. To jezd, prawdę rzekący, nie żadne psiokrew panowie, a ino pospolite szmaciarze, które doma ni majom co żryć, więc sie na obżyrkę szwendajom po świecie. A jako w Polsce mamy psiokrew dobrobyt, chleba całe zatrzęsinie, więc kiedy jedne skisie u nas nieco se podjadły, to drugie o tym sie dowiedziawszy, knająją z kuńca świata, coby zobaczyć, czy Polaki som tak jak jensze ludzie, czy nie majom psiokrew rogów na makówie, ogonów na widernachu, abo kopyt u pedałów. A jeżdżom one oglądacze psiokrew za durno, majom wikt za durno, noeniki [1]) za durno i wszystko za durno, a jensze Polaki jeim gwarzom, co som okrutnie szczęśliwe takich sufraganów widzące.

A no poszedem i jo, coby onych Gdańszczan uwidzieć i pedzieć, co mi jezd przyimno z nimi blachą się trącić. Na Janglikach, Rumunach, Festończykach i jenszych włóczykijach szmaciarskich nie bełem, jako po jangielsku, rumuńsku i festońsku gwarzyć nie jezdem umiejący. Ale tu mi pedziano, co one Gdańszczany umiejom po niemiecku, a jako bełem niegdyś psiokrew cysarskim żołnierzem i broniłem ceka ojczyzny na lądzie i morzu, więc tyż po pludersku gwarzę, a nawyt z pluderskimi psiokrew brzanami bełem się morowo rozumiejący, bez pomocy trzecigo kuździ z nimi jenteres załatwiający.

Kiedym wlozł w one Gdańszczany, poziram i widzę jakiś cyferblat zda mi sie znajomy. „Panie gdański — pedam do nigo po szwabsku — mnie sie widzi, co jo pana skądeś znam“. „Ba! jak sie ni momy znać — odpowiada po polsku — kiedy jo bełem przez pińć roków rydakturem w Krakowie...“ A zaro drugi Gdańszczanin przyłazi do mnie i peda: „Serwus, panie Wicek, dawnośmy sobie nie oglądali“. Pokazało sie, co i ten drugi jezd mój znajomek, co sie ulągł psiokrew w Krakowie, tu ci beł skubantem, tyż psiokrew rydakturem i dopiru od roku Gdańszczanem ostał. Nie kuniec na tym. Zarekumenduwały mi te żgace jeszcze trzech jenszych Gdańszczanów, co po polsku gwarzom, jako że sie w Polsce ulągli. A więc sie pytam jednego z nich: „powiedz mi psiokrew, brachu, pocoście tu przyknajali, boć poznać Warsiawę i Kraków nie belo wam potrza?“ A ten żgac mi na to: „A loczego nie mamy jechać, kiedy podróż i wyżyrka gratis na koszt państwa?“ — Takie to ci som zatracone psiokrew patrejoty.

A co do onych obcych szmaciarzy, to i te majom psiokrew jenteres tryndać sie po Polsce. Kuździmu Rumunowi na ten przykład dał rząd polski po 5000 lejów na granicy, coby skisie mioły na drobne psiokrew wydatki. A one 5000 lejów znaczyły psiokrew wtedy kole 200.000 mk. Więc ci nakupywały sufragany różnych różności lo swoich brzan i dziecek. A kiedy powracały, to beły takie z przeproszyniem świnie, co prosiły, aby jeim na podróż ode granicy hopów dano, bo som gołe. I rząd polski znowuj psiokrew wylał z kasy kupę lejów. Ale żadyn z onych psiokrew sufraganów ani jednygo wirsza nie nagrypsał o Polsce.

A no jezdemy bogate, to możemy psiokrew wszystkich dziadów hopami być wspierające. Lotygo jagem słyszał, wybirajom sie do nas jensze dziady italiańskie, portugalskie, hameryckie i najgolsze, bo tureckie, co bez swą psiokrew goliznę aże świętymi ostały i poszłyby żywcem bez portek do nieba, ale my jeim psiokrew portki zafundujemy. Abo nas psiokrew nie stać na to?

[1]) noclegi.

Z CHWILI.

Biedni nauczyciele ludowi!

Całe rzeki powstały z łez tych głodomorów.

Cóż dziwnego, że biedacy ci w nędzy żyjący, suchy kawałek chleba spożywający, chcą się czasami nieco rozerwać, zapomnieć o swym smutnym losie.

Więc też urządzają wycieczkę sankami do Morskiego Oka i Doliny Kościelskiej.

Składka od osoby wynosi skromną kwotę 11.500 marek.

Zaraz po tej wycieczce zwołany zostanie wiec w celu uchwalenia rezolucji, żądającej od państwa polepszenia bytu biednych nauczycieli ludowych.

„Bagatela“ wystawiła „Płomień“, sztukę dla prostytutek (pierwszy akt dzieje się w domu publicznym), którą potępiła cała prasa z wyjątkiem oczywiście „Kurjera“, zostającego pod tą samą dyrekcją, co Bagatela. „Naprzód“ nazywa ten utwór wprost „ordynarną lichotą i obrzydliwością“ i przypuszcza, że kosz kwiatów przysłały dyrekcji prostytutki.

Podobno poseł Marjan Dąbrowski ma wnieść w sejmie interpelację do rządu, czy wiadomy mu jest fakt wystawienia tej sztuki w Bagateli i czy nie uważa za stosowne zapobiedz kultowi takich pornografij.

Dzienniki doniosły, że zaprowadzona została stała automobilowa komunikacja Krakowa z zakładem dla chorych umysłowo w Kobierzynie. Komunikacji tej potrzeba oddawna uczuć się dawała. Korzystać z niej będą przedewszystkiem ci radcy miejscy, którzy głosowali za ustawieniem pomnika Kościuszki na barbakanie Władysława IV na Wawelu. Wielką ilość bloczków biletowych zakupili futuryści. Dla redakcji jednodniówki „Nuż w bżuchu“ zarezerwowano codziennie dwa miejsca. Następna jednodniówka nosić będzie tytuł: „Krakuf w Kobieżynie“.

W ogłoszeniach „Gazety Gdańskiej“ czytamy, że w miejscowym teatrze wystawiają „Der Geizige“, komedję w 5-ciu aktach „Moliere'go“ i że „nowo wéwiczone stałe karty nie mają znaczenia“.

Wartoby zaiste „wyćwiczyć“ tego „skąpca“, który administrację „Gazety“ tak skąpo zaznajomił z językiem polskim, że taką krzywdę robi „Molieremu“, naigrawając się z odmiany jego nazwiska.

WPADŁA.

Pan Podczaski, osławiony starosta bielski, najserdeczniejszy przyjaciel hakatystów (starostwo było za niego ekspozyturą hakatystowskiego Volksrathu), oddany całkiem na usługi Koździonia, został komisarzem do przeprowadzenia reformy rolnej na Śląsku i jest obecnie... Piastowcem.

Piękne stosunki!

Illustruje je świeży fakt, zaszły podczas pobytu w Bielsku dziennikarzy gdańskich. Urzędniczka zostająca w służbie polskiej i pobierająca polską pensję rządową, w rozmowie z jednym z członków wycieczki zjadliwie i bezczelnie wyrażała się o Polsce i Polakach. Gdańszczanin słuchał jej cierpliwie, a później odezwał się do niej po polsku: „O życzliwości pani dla nas doniosę, gdzie należy“. — Hakatystka nie przypuszczała, że rozmawia z dziennikarzem polskim.

PARTYKULARYZM.

Stawiano nam zawsze za przykład Poznańskie, jako wzór ładu i porządku. Tam niema łapownictwa (dodawano), tam urzędnik nie kradnie.

Tymczasem i w tym ładzie coraz więcej widzimy nieładu i do tego porządku coraz więcej wkrada się nieporządku. Łapóweczka kwitnie, jak gdzieindziej, a uczciwość niektórych urzędników mocno się popsuła.

Ba! obecnie aresztowano za kradzież listów pieniężnych cały urząd jednej z filij pocztowych w Poznaniu. W kradzieży brali udział dyrektor, dwaj inspektorowie, dwóch sekretarzy, urzędnik pocztowy, asystent, niższy urzędnik i kierownik innego urzędu pocztowego.

Tego jeszcze nie było. Takiej organizacji złodziejskiej nie odkryto nigdy ani w Kongresówce, ani w t. zw. Małopolsce.

Gdyby to stało się u nas, krzyczanoby w Poznańskiem: patrzcie, jacy to złodzieje ci Małopolanie! My tak krzyczeć nie będziemy. Wszędzie są rozmaici ludzie — i źli i dobrzy — wszędzie są amatorzy „cudzego“. Więc choć wypadek niezwykły, wyjątkowy (cały urząd!) nie będziemy rzucać kamieniem potępienia na prowincję, w której zaszedł. Będziemy jedynie grzecznie prosili o wzajemność.

Bo oto świeżo zasądzono w Poznaniu p. podprokuratora M. Noskowicza (podprokuratora!!!), który na publicznym wiecu oświadczył: „Złodzieje z Kongresówki są aniołami w porównaniu do złodziei z Małopolski, a sędziowie galicyjscy są nieukami i niedołęgami“. Oj ty „uku“ i ty „dołęgo“ Nosowiczu, czy nie odczuwasz, że idąc za twym przykładem po aferze pocztowej poznańskiej, moglibyśmy zawołać: „Złodzieje z Kongresówki i Małopolski są aniołami w porównaniu ze złodziejami z Poznańskiego“.

Ale my tego nie powiemy. Naprzód dlatego, co wyżej już napisaliśmy, a powtóre dlatego, że łajdactwem jest gremialnie obrzucanie błotem rodaków z innej prowincji. Mało łajdactwem — to jest zbrodnią narodową.

OMYŁKI DRUKU.

(Autentyczne).

„Hugues s ł a b y m przewodniczącym konferencji waszyngtońskiej“ twierdzi „Rzeczpospolita“ w n-rze 311 w nagłówku telegram, a w treści podaje, że Hugues został s t a ł y m przewodniczącym.

Jeden z magazynów „konfekcji damskich“ ogłasza, że „posiada w wielkim wyborze pończochy damskie i dziecinne, żakiety, nowości w materjałach jedwabnych, m e l o n y ślubne“ i t. d. Co pannom młodym po melonach? A może to w e l o n y?

KONTRASTY.

Że tak bywa — każdy przyzna
Z czytelników naszych grona:
Nader biedny jest mężczyzna,
Gdy się zbytnio stroi żona.

Dama, idąc przez ulicę, jedwabiami wdzięcznie szasta. W uśmiech stroi gładkie lice, słowem — cacuś, szyk niewiasta!

Lakiereczki lśnią w oddali,
Błyszczą wstążki i butony —
W oczach płomyk też się pali
U powabnej madam — żony...

Mąż na skromnym dziś urzędzie, zawracanie ma wciąż głowy, lecz nie bacząc, co to będzie, spełnia kaprys swej królowej. Ot, tuż obok, idzie właśnie pokorniutki mąż i struty... Spodnie?... niech je piorun trzaśnie!... buty?... alboż to są buty?...

Żakiecina... odpuść Boże!
Pod pachami dziury chowa;
Za to żonka... w słońcu gorze —
Ustrojona, jak królowa!!

Eszet.

NA CZASIE.

Pacjent był bardzo chory —
Przywołano więc doktora,
Luminarza wśród doktory,
By choroby znikła zmora.
Doktór zbadawszy chorego,
Widząc, że stan jego srogi,
Że ratunkiem jest dla niego
Lek ogromnie rzadki, drogi,
Lek zapisał. Wówczas grono
Krewnych, co oszczędnem było,
Pół lekarstwa zleconego
Choremu dać uradziło —
Nadto jeszcze, aby dany
Po raz drugi nie kosztował,
Był codziennie rozcieńczony —
Lecz zasłaby — nie skutkował.
Cóż się stało? Chory zginął —
Krewni rzewnie zapłakali —
Ręczyć żaden nie pominął,
Że chorego uwielbiali.
Czyż chorym nie Polska droga?
A my skąpi jej krewniacy?
Ale gdzież znowu na Boga!
Wszak szlachetni my Polacy!

ZNIŻKA I ZWYŻKA.

W Toledo, jak donoszą polskie dzienniki amerykańskie, „okropnie staniały żony".

Oto niejaki Antoni Perkowski sprzedał swemu „borderowi" żonę swoją za jednego dolara i piętnaście centów. Szczęśliwym nabywcą jest Leon Plon, który sądzi, że odkąd żyje, nie nadarzyła mu się okazja lepszego zakupna. Policja jednakowoż sądzi inaczej i aresztowała obydwóch mężczyzn pod zarzutem gwałtu".

Gdzieindziej jednak żony drożeją.

Jak stwierdza badacz i podróżnik Oskar Olsson, drożyzna daje się obecnie odczuć i w Afryce wśród dzikich, gdyż np. żony, które poprzednio kupowano po 3 dolary, obecnie kosztują 6 dolarów, a wyjątkowo zgrabne nawet 6 i pół dolara.

U nas, o ile nam wiadomo, artykuł ten trzyma się mocno w cenie. Dawniej przeważnie wymagano pięknej wyprawy i sporego posagu — dziś kandydatka do stanu małżeńskiego może już być pewna, że znajdzie amatora, jeśli posiada pokój umeblowany, kilkanaście cetnarów węgla, 10 kilo słoniny, korzec ziemniaków i beczkę kapusty.

LX. LIST KACPRA KRUPY

WSPÓŁPRACOWNIKA "DJABŁA" z BUDAPESZTU.

Budapeszt, w listopadzie 1921.

Wielebna Redakcjo!

Węgrzy, to naród ogromnie rycerski, który szczególnie uwielbia konie i kobiety. Z tego też powodu Węgrzy, widząc, że ex-królowa Zyta z powodu utraty korony węgierskiej jest bardzo zmartwioną, płacze i narzeka, postanowili jej ból jakimś narodowym prezentem złagodzić. W tym celu urządzili, jak to teraz w modzie, plebiscyt i głosowali nad tem, jaki jej prezent w imieniu narodu wręczyć. Głosy były podzielone: jedni proponowali, aby jej kupić kilkanaście par jedwabnych pończoch, drudzy żelazną kołyskę i wyprawę dla położnic, a byli też i tacy, co proponowali zakupno kilkunastu kapeluszy, halek, kaloszy i t. p. przedmiotów. Większością jednak głosów uchwalono zakupić wspaniałe urządzenie sypialni. Urządzenie to składa się: z łóżka, kanapy, kilku foteli, lustra i nocnego stoliczka, czyli jak u nas w Galicji mówią, Nachtkastlika, z odpowiedniem naczyniem, ozdobionem herbem Habsburgów. Prezent ten ogromnie ją ucieszył. Całe to urządzenie zabiera do Madery, dokąd jej i Karolowi na usilną prośbę towarzyszyć będę.

Obecnie zostaję jeszcze czas jakiś w Budapeszcie z tego powodu, że zgłosiło się do mnie dwóch kandydatów na tron węgierski i proszą mnie o poparcie: książe angielski Connaughut (mów Kogut) i książe włoski Aosta. Są to ludzie trzeźwi, czy jednak posiadają kwalifikacje na króla węgierskiego i którego z nich mogę popierać, muszę wpierw dokładnie zbadać. Sługa

Kacper Krupa

Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 18907.

MONOLOG SCHMAJGEŁESĄ.

Już karnawał sze zaczyna —
Będą bale i pigniki —
Będzie wielka skakanina,
Karnawałowe wybryki.
Na cele dobroczynności
Będziemy fikać z nogami —
Tańczyć aż do upadłości —
Pot wilewać strumieniami!
Będziem tańczyć na pomniki,
Szkrofle i przeróżne dziady,
Plebiscyty, suchotniki,
Wstydzących żebrać gromady!
Panny, co buły zgłodniałe
Od lat paru tańcowania,
Tańczyć będą noce całe
Wśród śmiechów i flirtowania!
Tyle tylko będzie zmiany,
Że bale będą skromniejsze —
Rzadkością będą szampany,
Rzadsze trunki szlachetniejsze.
Że tate dla swojej córy
Kawalera chcąc skaptować,
Nie da mu kawioru fury —
Szampan nie będzie fundować!
Co najwięcej, bo to przecie
Dziś wszystko dużo kosztuje,
Salwelatkę przy bufecie,
Bombę piwa zafunduje!
Zaś kawaler, co miłością
Do panny kręci z oczami,
Nie obdarzy jej z pewnością
Zagranicznymi kwiatami.
Lecz dowodząc, że miłuje,
Że po uszy zakochany,
Listek jej zaofiaruje
Na plantacjach zerwany.
Albo, bo pomadki drogie,
W miłosnym szału obłędzie
Spłodziwszy westchnienie srogie,
Kostkę cukru da w prezencie!
Gdy zaś będzie narzeczoną,
To, bo takie dzisiaj czasy,
Przezeń będzi obdarzoną
Słoniną, kilem kiełbasy!
Bardzo czasy się zmieniły —
Poetyczność już upadła —
Prozaiczne górą siły —
Górą masło, górą sadła!
Papkin, gdyby o tem wiedział,
Dziś o Klarze by powiedział:
„Dawniej rzekła panieneczka
Miłe swemu kochankowi:
Kup mi luby kanareczka,
A dziś każda swemu powie:
Jeśli nie chcesz mojej zguby,
Kilo smalcu kup mi luby!“

TESTAMENT BURMISTRZA.

HISTORJA PRAWDZIWA.

(Ciąg dalszy).

Kalasanty pędził żywot szczęśliwego człowieka, ale że na świecie nic nie jest trwałem i nieskończonem, prócz niektórych rzeczy, jak np. wzrastające ceny żywności, również nadeszły dla Kalasantego chwile smutku i pełnej goryczy.

Pewnego dnia, gdy Kalasanty siedząc w biurze zostawił rachunki gminne, które z rzeczywistymi wydatkami i dochodami tak się zgadzały, jak astronomja z paskarstwem, nadszedł ze Lwowa list polecony. Gdy Kalasanty list otworzył i przeczytał, twarz Kalasantego przybrała taki bolesny wyraz twarzy, że była podobną do pyska starego buldoga, któremu profesor anatomji przy wiwisekcji wyciął wątrobę, śledzionę i półkulę mózgu, aby chciwym wiedzy słuchaczom udowodnić, że nie tylko buldog, ale i człowiek bez tych narządów żyć nie może. List pisany był przez jednego z przyjaciół Kalasantego, który miał styczność z wyższemi władzami i donosił mu, że z powodu licznych nadużyć, których się miał dopuścić jako burmistrz, zjedzie do Kurniczynka komisja dyscyplinarna. Przyjaciel radził mu równocześnie przedsięwziąć środki ostrożności, bo sprawa pachnie kryminałem. Biedny burmistrz tak się tą wiadomością przeraził, że kilka godzin siedział na fotelu, jakby życie z niego uleciało, a gdy wstał, był znacznie chudszym, aniżeli przedtem.

Burmistrz dzień cały chodził jak struty, a gdy się wieczór położył do łóżka, nie mógł zasnąć, febra nim trzęsła albo się pocił, a nawet była chwila, że myślał o samobójstwie i chciał wypić wszystkie z bakterjami przez syna mu nadsyłane flaszeczki.

Już świtało, gdy błysnął mu promyk nadziei, który miał nos zakrzywiony, pejsy, długą jupicę i wielce był podobny do Jojny Krogulca, szynkarza i cyrulika. Jojne Krogulec od lat cieszył się przyjaźnią burmistrza i dzięki tej przyjaźni za małem wynagrodzeniem, był jedynym szynkarzem w Kurniczynku.

Gdy burmistrz rano okrył grzeszne ciało ubraniem, natychmiast pospieszył do mieszkania Jojny Krogulca. Jojne leżał jeszcze w łóżku, lecz gdy mu Kalasanty oznajmił o co się rozchodzi, zaraz z pod pierzyny wyskoczył i włożył na głowę jarmułkę. Kalasanty dość długo siedział w mieszkaniu Jojny, ale co tam uradzono? i jaka zapadła uchwała? nikt nie wie. Gdy burmistrz szedł do domu, był blady, a ku ogólnemu zdziwieniu policjanta, którego na ulicy spotkał, po głowie nie uderzył. W domu położył się do łóżka, bo czuł się słabym, stękał jak tytan i kazał przywołać Jojnę Krogulca. Stękanie burmistrza było tak głośne, że liczni mieszkańcy stanęli pod domem i przysłuchiwali się temu koncertowi. Gdy Krogulec wyszedł z mieszkania Kalasantego, oznajmił zgromadzonym, że burmistrz tak ciężko zachorował, że za

dni kilka umrzeć musi. Wieść ta lotem błyskawicy rozeszła się po mieście. Stękanie w mieszkaniu burmistrza stawało się coraz donioślejszem. Ku wieczorowi wszyscy zacniejsi obywatele miasta za pośrednictwem Krogulca otrzymali zaproszenie do burmistrza, który chciał się z nimi przed śmiercią pożegnać. Ponieważ Krogulec wszystkich zapewnił, że choroba nie jest zaraźliwą, wszyscy chętnie przybyli.

Burmistrz ciężko sapał, był blady jak kreda, a na ciele miał liczne wrzody wielkości ziarnka kaszy tatarczanej. Przywitał przybyłych słabym głosem, a gdy o ile krzeseł starczyło, wszyscy usiedli, tak do nich przemówił:

„Wezwałem was, zacni obywatele, aby się z wami pożegnać i przeprosić was za wyrządzone wam krzywdy. Wkrótce, jak mi to zaręczył Jojne, dostanę się tam, gdzie niema Wydziału Krajowego i innych władz. Za moje złe, kara doczesna już mnie spotkać nie może, ale chociażby również nie być narażonym na karę wieczną i to raz dlatego, że kara ta jest straszną, a powtóre, że wyrządziłem wam wiele krzywdy, a nie chcę was kompromitować po śmierci. Wielce by miastu i wam ubliżyło, gdybym jako wasz burmistrz, głowa miasta, musiał się po śmierci smażyć w smole. Jakżeby was kochani bracia, tam kiedyś przyjęto? wyśmiano by was i nie mielibyście żadnego znaczenia. Ja proszę was dlatego, abyście mi przebaczyli krzywdy wam wyrządzone. Z mojej strony zaś chcę testamentem wynagrodzić złe, którego byłem powodem. Zapisałem cały mój majątek miastu, a każdy z was otrzyma po mnie wartościową pamiątkę“. (D. n.).

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Ze Lwowa.

Tydzień bieżący zaczął się pod znakiem „Kobiety, która zabiła“. Wszędzie o niej mówiono. Roztrząsano, czy otomana stojąca na scenie, była widoczna, dla parteru i dla balkonów. Młodzież szkolna obojga płci, wystosowała pismo na ręce gen. sekretarza teatru p. Schrödera z prośba, aby tak pouczająca sztukę wprowadzić w repertuar przedstawień dla młodzieży po zniżonej cenie. Nawet r. Thulie w dyskusji budżetowej dotknął „Kobiety, która zabiła“. Nic też dziwnego, że zaciekawiony do najwyższego, poszedłem do teatru.

Obok mnie zajął miejsce pewien znany radny miejski, który przyszedł z żoną, córką Zosią i starającym się o nią panem Kaziem. Korzystając z antraktu, objaśnił mię radny, że na „spektakel“ specjalnie przyszedł, aby sprawdzić, czy r. Thulie ma rację.

Zdaniem radnego, „pikantne kawałki“ powinny iść, bo kasa, to grunt...

— A zresztą, proszę pana, musimy przez jakiś czas puszczać takie kawałki, aby się odbić.

— Odbić? — Nie rozumiem pana.

— Tażeśmy dali temu Przebyszewskiemu sto tysięcy — kto nam to pokryje?

Kurtyna się podnosi. Bohaterka wręcza przyjaciółce tysiąc dolarów. Sąsiad z lewej strony żydek zwraca uwagę:

— Pan ma pojęcie, ile to na naszą walutę?

Proszę go, aby mi nie przeszkadzał. Tymczasem na scenie mąż bohaterki robi awanturę, bohaterka w odpowiedzi zapowiada, że nie puści go do swojej sypialni. Panna Zosia się rumieni, a radny szepce do mnie:

— Thulie miał rację. Poco taki przykład dawać?

Na scenie akcja idzie dalej, bohater przekupuje amanta, każe mu uwieść bohaterkę. Daje mu 300.000 dolarów. Patrzę na żydka, który oblizuje się i mówi do siebie:

— „Mir gesagt — takie zarobki“.

Radczyni sapie — Zosia wzdycha.

— Boże, jaki on podły!

Akcja przenosi się nad morze, amant „kopie“ się do bohaterki — w końcu mu się to udaje, no i w ostatnim akcie przychodzi bohaterka do kawalerskiego mieszkania amanta. Amant zawiadamia o tem bohatera, który staje za kotarą.

Panna Zosia szepce:

— Jaki on śliczny, a taki podły. Czy pan mógłby tak zrobić, panie Kaziu?

— Ta niech panna Zosia gitary nie zawraca...

P. Thulie twierdzi, że sztuka nie nadaje się dla szerszej publiczności. Nie byłem zresztą pewny, kto ma rację? Uspokoił mię dopiero prezydent Chlamtacz, który urzędowo oświadczył, że „takie sztuki musi się pokazywać, bo podkasana sukienka jest w modzie“. Z podziwem zaczynam się odnosić do naszego wiceprezydenta. Jest profesorem prawa rzymskiego. Umie układać kawałki, które odczytuje sam dyrektor teatru, a teraz dał dowód, że się zna na modzie.

Wogóle ludzie nie wiedzą, czego chcą.

Na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej zarzucano, że prezydjum za dużo wydaje na powozy i bankiety. Co do powozów, to jeszcze pozwolę na krytykę, bo naprawdę trochę za dużo rozbijają się familje radnych powozami, choć mój Boże, Gałecki wysyłał codziennie lokaja autem po świeżą świerczynę do Brzuchowic i nikt mu nie ganił tego, a tu o głupie konie robi się awantury.

Ale od bankietów wara krytyce. A nasza staropolska gościnność? Dawniej, gdy przyjmowano chlebem i solą, czy przyjechała kiedy jaka misja zagraniczna? A dzisiaj— wykwintne dania i szampan przyciągają, codziennie ktoś przyjeżdża. Mamy sposobność pokazać, że czem chata bogata, tem rada.

Zagraniczne gazety ciągle piszą:

— Miasto Lwów — prezydent Neumann — co wobec tego znaczą głupie kilka miljonów, wydanych z funduszów miejskich na bankiety.

Wuzet.

II. Łapichłopstwo Bryla i Dębskiego.

„Zgoda", dziennik związkowy, wychodzący w Chicago, pisze:

Jak się dowiadujemy z pism polskich, wychodzących na wschodzie, niefortunni posłowie Sejmu polskiego Jan Bryl i Jan Dębski, członkowie stronnictwa ludowego „Piasta", zabrali swoje lary i penaty i wyjechali do Polski.

Niech sobie jadą z Bogiem i niechaj tu nigdy nie wracają, ni też podobnych sobie nam tu nie nasyłają. Swoimi bowiem występami więcej szkody, niż dobra wyrządzili naszemu wychodźtwu; wnieśli tu rozdźwięk i rozgoryczenie swoimi przemówieniami między dotąd spokojne wychodźtwo nasze i pogłębili tylko nienawiść klasową, czego my tu znać nie chcemy.

Panowie Bryl i Dębski, przybywszy do Ameryki, w swej szumnej odezwie do ludu polskiego zapowiedzieli uroczyście, że przybyli tu nie po to, by jątrzyć, a godzić i że nie przybyli po dolary, jak inni, tylko, aby prawdę opowiedzieć o Polsce i jej rządzie. Słowa jednakże nie dotrzymali, bo swymi mowami nie godzili, lecz jątrzyli nasze wychodźtwo; o stosunkach w Polsce mówili ze stronniczego punktu widzenia, lżyli inne stronnictwa, urągając najlepszym mężom w narodzie, a dolarki tak samo wyciągali z ludu wychodźczego, jak zwykli łapichłopi...

O ostatnich łapichłopskich występach Bryla i Dębskiego „Kronika", tygodnik wychodzący w Newark, N. J. tak pisze:

„W Domu narodowym odbyło się zebranie Polskiego Stronnictwa ludowego Piast. Przemawiał poseł Jan Dębski, który przez godzinę i pół opowiadał o zasługach jego partji w uchwaleniu nowej, polskiej konstytucji, w przeprowadzeniu reform rolnych i o wydatnej pracy ludowców podczas najazdu bolszewickiego. Poseł Dębski gorzko się wyrażał o inteligencji polskiej, a szczególnie o księżach i ich działalności w polityce.

„Poseł Dębski okazywał po sobie znaki wielkiego znużenia i podczas swej przemowy kilka razy się zachwiał. Widać było, że tylko siłą własnej woli trzymał się na nogach. Mowa jego przerywana była kaszlem i raz poseł odpoczął przez pół godziny, podczas którego to czasu przemawiał p. Mazur.

„Na jego właśnie apel urządzono kolektę imienną, która przyniosła 55 dolarów do kapelusza drobnymi wrzucono 48.98 dolarów, czyli razem zebrano 103.98 dol. Po wypłaceniu kosztów zostało 61.98, które pan Dębski zabrał ze sobą.

„Poseł Dębski w swojej mowie przyznał, że za wiele mamy w Polsce partji, lecz wyraził nadzieję, że po wyborach, które wkrótce nastąpią, sytuacja się zmieni i ludowcy z klubu Piast otrzymają około 250 głosów. Dla tego nawoływał obecnych do utworzenia koła P. S. L. w Newarku, do którego by członkowie wpłacali pewną sumę miesięcznie na propagandę ludową w Polsce.

Ot i macie szanowni czytelnicy perfidję łapichłopów, niby to wodzów ze stronnictwa ludowego, choć oni są takimi „ludowcami", jak piszący niniejsze słowa, mandarynem chińskim...

Zapowiadali oni, że nie przybyli tu po dolary, jak inni, a tymczasem zbierali dolarki na każdym wiecu dla nich urządzonym i chowali do kieszeni, a poza tem każą tu tworzyć jakieś koła „ludowe" (?) Piasta i płacić do nich regularne podatki miesięczne na jakąś „propagandę ludową" w Polsce, czyli na politykę Brylów, Dębskich i im podobnych, którzy na biedzie tego ludu polskiego porobili krociowe fortuny, co jest im udowodnione.

Nam tu żadnych kół chłopskich, czyli ludowych bez szprych nie potrzeba, bo mamy nasz Związek N. P., który założyli chłopi i robotnicy polscy i w nim jest dosyć miejsca dla pracy na niwie narodowej dla każdego Polaka i Polki, bez względu, do jakiego się stronnictwa zalicza.

Macherów i łapichłopów w rodzaju Bryla i Dębskiego nam tu wcale nie potrzeba i nie mogli oni nas tu nic pouczyć poza rozdźwiękiem, jaki tu swoimi wystąpieniami wywołali. Bez rad i opieki takich „panów" my się tu absolutnie obejdziemy...

Dał temu wyraz ostatni Sejm Z. N. P., który olbrzymią większością głosów uchwalił, że nie chce słuchać wywodów Bryla i Dębskiego, choć oni tam na to czekali".

NADESŁANE.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.